Rozmaitości

Nr 21.

Dnia 26. maja 1838 roku.

GAWĘDY STARE I OBRAZY.

KULIG.

Oto zapusty!
Dalej kuligiem w przyjaciół chaty,
Zbudziemy śpiących, zabierzem z sobą,
Kto nas zobaczy, ten nie zostanie,
Z nami na nowe poleci tańce;
Mnogie hajduków świécą kagańce,
Szybkie po śniegu migają sanie.

My sobie jedziem kuligiem,
I w noc, i we dnie
Lecim saniami,
I jadą z nami
Wrzawa, śmiéch pusty,
Czy znasz ty polskie zapusty?

Malczeski. *Maryja.*

Na obszérnéj dolinie, mało gdzie zagajonéj, po nad strumieniem studziennéj wody, rozciągała się wieś Lusławice, z ozdobnym kościołem i białym dworem na wzgórzu. Ocieniało go kilka jodeł smętnych, dwa cisy i odwiecznych kilka dębów. Széroki strumień tęgie ścisnęły mrozy, po sklistéj jego powierzchni chłopcy ze wsi ślizgali się na przegony; szérokie równiny śnieg biały grubo okrył, zawiesił się nawet na gałęziach czarniawych jodeł, i migał zmrożony blaskiem odbitego promienia słońca, które zamglone, śród chmur sinawych, pędzonych wiatrem, rzucało światło na okół. Z kominów chat wychodzące prosto w górę dymy, zwiastowały i mróz tęgi i wygodę mieszkańców, że przy ciepłych kominach nie lękają się zimna. Przed godziną odgłos dzwonu kościelnego przerywał tu ciszę, gdy zwoływał wiernych do modlitwy; teraz jeno poświst wichru zakręcił z szumem zaspy śniegu, i przyniósł słabe echo wycia zgłodniałych wilków, co w dalekim lesie gromadnie przebiegały, szukając na próżno żéru.

W białym dworze na wzgórzu aż ze trzech kominów wznosiły się dymy, sinawe jak marmurowe słupy; z dziedzińca już zasłyszałeś gwar mocny, bo właśnie zbliżało się samo południe, i zastawiano do obiadu. Gospodarz pan cześnik w lisiurce, stał na ganku, i wołał niecierpliwy, by prędzéj dawano na stół; nakrzyczawszy dosyć wszedł z zmarszczoném czołem do jadalnéj komnaty, gdzie siedziała jego małżonka z dwoma córkami i księdzem proboszczem, poważnym siwizną i pobożnością. Pan cześnik głaskał czuprynę, spluwał, zaciérał ręce i nic nie mówił, co było zawsze oznaką głodnego żołądka. Aż przecież kredencerz wniósł wazę, wszyscy zasiedli do stołu, a po rosole, sztuce mięsa i po parze kieliszków wina, zaczęło się czoło cześnika rozchmurzać, i uśmiech, zwyczajny towarzysz szlachetnego oblicza, zjawił się na nowo.

»Ależ mróz był ognisty,« odezwał się gospodarz, »zdawało się, że para z ust marznie.«

»Więcéj dawał uczuć moc swoję na głodny żołądek,« odrzekła cześnikowa, spoglądając z uśmiéchem na męża.

»Przecież wiész aśka moja pani,« bronił się dobry cześnik, całując ją w rękę, »że to nasza natura gniewać się, gdy głodno, boć za prawdę w onczas spiéwać nie mogę.«

»Nie zdałby się wielmożny cześnik na myśliwca dawnych czasów,« rzekł proboszcz, »kiedy człowiek przez dwie całe doby nic nie jadł. Jaćcito doświadczył w młodych leciech.«

»A niechże mnie Bóg zachowa!« wykrzyknął, porywając zraz sarniéj pieczeni, »nie do tegom ci, mój proboszczu, nie do tegom. Przecież gdy nagła potrzeba, łamałem się w przygodzie i z głodem, i ztąd poznałem, jaki człek *stupidus*, gdy żołądek piszczy.«

Proboszcz już się zabiérał do długiéj rozprawy o głodzie, zaczynając od przysłowia z Ł. Gornickiego *Dworzanina*: »że głód najlepszy kuchmistrz,« gdy zabrzękły przed gankiem głośne dzwonki, a po chwili roztwarły się drzwi komnaty na ścieżaj, i arlekin zamaskowany z trzepaczką w ręku ukłon oddaje, i jednym skokiem staje na środku.

Tu biegając w około, wskazując na stołki, przewracając co po drodze zawadzało, śpiéwał ciągle: »Ej! kulig! kulig! kulig.« Tak obleciawszy całą komnatę, we drzwiach ukłon znowu powtórzył, i zniknął.

»Grzegorzu!« zawołał pan cześnik, »a wyjrzyj z ganku, w którą stronę pojechał ten skomoroszek.«

Gospodyni co rychléj wstała od stołu z córkami, proboszcz już krótko bawiąc odszedł do plebanii, przyrzekłszy, że jak kulig zjedzie stawić się nie omieszka, a cześnik radosny wydawał rozporządzenia na przyjęcie wesołéj drużyny, co z zamiecią śnieżną przewiewała od dworu do dworu.

Grzegorz tymczasem wrócił, donosząc, że czarny diabełek, co tak skakał, w jodłowym lesie zniknął. I wywołany kredencerz odebrał rozkaz ze świeżego antału natoczyć kilka koszów węgrzyna, kucharz ogień już wielki naniecił, klucznica smażyła faworki i pączki, a pan cześnik kazał uprzątnąć komnaty i przy zmroku oświetlić wszystkie; zrzucił lisiurkę i wystrojony w kontuszu oczekiwał zapowiedzianych gości. Pani cześnikowa ubrana świeżo z córkami, weszły także do wielkiej sali, oświetlonéj jarzącém światłem i blaskiem z marmurowego komina, gdzie naniecony jałowiec z jagodami przy cieple i zapach roznosił.

Szósta na zégarze ściennym z kurantem wybiła, a nie słychać dzwonków kuligowych. Cześnik niespokojny wyjrzał oknem. Zamieć śnieżna coraz się powiększała, wiatr zimny poświstywał, a śnieżyca pokryła drogi, i tak zaćmiła wszystko, że nie mógł zobaczyć choć bliskiego gumna. Grzegorz wysyłany na zwiady doniósł, że zamieć tak wielka, iż trudno do bramy nawet trafić, i kulig pewnie zabłądzi.

Niespokojny gospodarz rozkazuje latarnie zapalić, i ustawić to na bramie, to na słupach parkanu, aby zbłąkanym nadać łatwiejszy kierunek. Jakož dzięki téj przezorności zadzwoniły sanki; siedział w nich ów arlekin, ale niebył tak rzeźwy; przysypany śniegiem bo nieraz przewrócony w dole od kartofli leżał, a których w okół dworu cześnika niebrakło; przeziębły, zaledwie wylazł z sanek, i drżący wszedł do sali, dawszy smutną wiadomość, że cały kulig w opłotkach błądzi, przewraca się, a krzyk i wrzawa tak wielkie, że tylko wiatr przeciwny przeszkadza, że niedochodzą do dworu.

Natychmiast wysłał cześnik czeladź swoję z latarniami, sam nawet przywdział na powrót lisiurkę i z ekonomem i proboszczem, co nadbiegł na tę wiadomość, udali się na miejsce.

Pomoc ich była niezbędną; 12 sanek wystawiało obraz nieładu: konie u jednych rozhukane porwały zaprzęg i pędem na dziedziniec wpadły, drugie wraz z saniami ugrzęzłe po brzuchy oczekiwały ratunku. Kobiety płakały, mężczyzni jedni krzyczeli, drudzy śmiali się, woźnice klęli. Pudła, pudełka, szkatułki, tłumaki, wyrzucone z przewróconych sani, leżały po obu stronach drogi. Po omacku zwoływali się, aby być razem i chociaż piechotą dójść do dworu. Jakaż ich była radość, gdy ujrzeli zbliżające się światło i pomoc, które winni byli swemu arlekinowi, co pierwszy dał znać do dworu, i gorliwości szlachetnego cześnika. Ustał płacz kobiét, mężczyzni radośni wykrzykują: kulig! kulig!, woźnice już niekláą. Cześnik naprzód począł ratować mężatki i panny; hajduki i czeladź przy pomocy kuligowéj modzieży przenieśli wszystkie na ręku, napróżno tłusty podsędek, w dole kartoflowym schowany, wychyliwszy nieco głowy, zaklinał o pomoc.

—»Kto tam jesteś«— zawołał cześnik — »czekaj bratku, płeć piękna przede wszystkiem.« Dwie godziny trzeba było wyciągać kulig ze śniegu i dołów, zbiérać rozrzucone rzeczy; cześnik przy zawiei i mrozie, zmęczony, wrócił przecie uradowany, że wszyscy zdrowi choć przeziębli.

Ogień na kominie rozgrzał ich wkrótce, a rozweselił węgrzyn. Wnet weszła kuligowa muzyka, zabrzmiała poloneza, i długi rzęd par wesołych posuwał się w poważnym tańcu.

W pierwszéj szedł parze pan cześnik z panią starościną już wiekową niewiastą. Wy-

rzucił za siebie na ramiona wyloty, lewą ręką trzymał się za pas bogaty, prawą prowadzi damę. Za nim jego małżonka z siwym starostą; daléj poważniejsi dostojeństwy i wiekiem; za tymi 15 par wesołéj młodzieży. Wiódł rej cześnik po obszérnéj sali, w trzecim zakręcie uchylił głowy, klasnął w dłonie — rozdzielił się ze swoją damą i w długim wraz z towarzyszami stanął szeregu.— Niewiasty i panny same, za przewodem starościny, przeszły poważnym w takt tańcem dwa razy w około, i każda według upodobania wybrała z mężczyzn podaniem ręki.—

Kiedy na nowo parami posuwało się grono gości w poważnym tańcu, arlekin, wysuszony i rozgrzany, wlazł na chórek nade drzwiami, umyślnie od lat dawnych dla muzyki zbudowany, uderzył silnie trzepaczką i krzyknął: »Hej kulig! kulig! kuligowego mazura,« A wnet grajki stają obok i zaczynają od ucha.

Na to hasło starcy, poważniejsi i starsze niewiasty ustępują z koła, zostawiając rzeźwą młodzież do skocznego tańca.

Gospodarz wyprowadził do pobocznéj komnaty sędziwszych gości, a gdy jedni poczęli grać w *tryszaka*, drudzy w *ślepego maryjosza* (*), reszta usiadła wieńcem w około poważnego starosty, bawiąc się gawędą. Cześnik należał do tego grona, w którém gęsto obchodziły kielichy starego węgrzyna: i śmiech serdeczny uweselał zmarszczki i siwiznę. Cóż ich tak radowało? co troski z szlachetnych spędzało obliczy?— wspomnienie lat młodych, kroplami złocistego węgrzyna dobyte z serca i myśli.

Starosta miał sławę w całéj okolicy dobrego opowiadacza; żyjąc w świecie długo, i z nie jednego jadłszy chléb pieca, okwitował w dykteryjki zabawne, dzieje rodzin znakomitych, które tak gładko z ust mu płynęły, jak gładko wysuszał kielichy do kropli.— Niebrakło i cześnikowi, równie jak i innym starcom, grono to poważne składającym.

Starosta właśnie zaczął wyliczać sławne łgarstwa i czyny znanego *panie kochanku*, a które w mgnieniu przebiegały kraj cały, bawiły wszystkich, i stanowiły w swoim czasie rodzaj szczególny literatury niepiśmiennéj, — co równe znajdowała przyjęcie w wspaniałym zamku i wielkim dworze, jak pod strzechą słomianą ubogiego szlachcica na zagrodzie.

Bogaty wojewoda, potentat, tak zwany *Panie kochanku* od przysłowia którego używał, nieraz opisywał swoje łowy. Pan cześnik (mówił starosta) zna je wszystkie, ale może niezasłyszał o tych, o których chcę waszmościom powiedzieć.

Cześnik skłonił głową, nalał pełny kielich i podał mu z uszanowaniem, a starzec przybierając mowę samego *panie kochanku*, którę doskonale naśladował, począł:

— Przed cztérma laty byłem na łowach *panie kochanku*, strzelałem razy kilka, wyszły mi wszystkie naboje, aż tu razem *panie kochanku* wyskakuje duży jeleń, i staje bliziutko. Co tu robić; był jeszcze nabój prochu — sypię w lufę, a jadłszy właśnie wiśnie, miasto luftek pestkami nabiłem. Jak zmierzę *panie kochanku*, jak palnę, aż jeleń podskoczył, zdawało mi się, żem go trafił w czoło, ale z pewnością niewiedziałem. Wyjechałem potém za granicę, zwiedziłem Niemcy, Francyję i Włochy, po trzech latach wróciłem do domu. Że lubię łowy, poszliśmy znowu na jelenia; stoję w tém samém miejscu, i niedługo wyskakuje jeleń; patrzę, poznaję, że to ten sam, com doń strzelił pestkami, bo z samego środka czoła wyrosła duża wiśnia, z pełnémi gałęziami owocu! Takto *panie kochanku* poznałem mego jelenia, który uszedł zdrowo, i buja w moich kniejach.

Przypominam sobie (mówił daléj), że miał na dworze swoim szlachcica ogromnego i barczystego, zwał się Leon Borowski.— Miał on być zawsze towarzyszem *Panie kochanku*, potwierdzał wszystko, co potentat wyrzekł, i wchodził jako osoba działająca do historyj różnych. Od niegom się dowiedział, jakiego sposobu używał *Panie kochanku* na łowienie licznych niedźwiedzi. Półwozia (o dwóch kołach) z krótkim dyszlem, który kazano okować ostro, smarowano miodem, i rozstawiano po kniei. Łakome niedźwiedzie słodyczy, liżąc coraz daléj, same się nadziéwały, tak, że koniec dyszla drugą stroną wychodził, wtedy ukryci chłopi wyska-

(*) Dziś tak zwany *Kiks*.

łkiwali z zasadzki, porywali za one końce, i przywozili do dworu niedźwiedzia.— Zapewniał mnie sam *Panie kochanku*, że jednego roku, co był w miód ubogi, 2000 niedźwiedzi przywiedli chłopi.— Skóry z nich władował na okręt i sam z niemi ruszył, ale burza zagnała go na nieznane i odległe morze. Wiatry chwiały nawą, już go miały przewalić, wtedy ja *panie kochanku*, skoczywszy w rozhukane bałwany, uchwyciłem oburącz okręt, i przez całą dobę płynąc pod zagrożoną nawą, podpiérając własnémi barki, przyprowadziłem do bezpiecznego portu.

—Pan starosta— rzekł gospodarz— przypomni sobie zapewne, co opowiadał także o swoich zaślubinach tajemnych z Syreną na jakimciś morzu?

— Przypominam! przypominam! Borowski najuroczyściéj mnie zapewnił o tém, dodając, jak dobrze wyszedł na tém małżeństwie, albowiem *panie kochanku* potomstwo swoje całe, jakie miał z Syreny, złożone ze stu tysięcy śledzi— darował mu, za co nie mało pieniędzy zgarnął.

Za pozwoleniem wielmożnego starosty— odezwał się pan Jan z Szczuczyna— pomnę dobrze, jak wielu niedźwiedzi trzymał na swoim dworze. Kiedy jakiego cudzoziemca spodziewał się u siebie, zaraz w oznaczonym czasie, gdy widziano, że się zbliża, służba dworska i czeladź znikała. W bramie stało dwóch niedźwiedzi ogromnych, *białoszyjków* (*), z wielkiemi pałkami— na ganku i w sieniach toż samo.— Zdarzyło się w onczas, że zaprosił do siebie sławnego Włocha doktora— boć to oddawna jak w przypowieści: *Co Włoch to doktor.*— Włoszysko co nigdy niewidziało naszych niedźwiedzi, nie mógł wjechać w bramę, bo konie wystraszone zwracały. Przydany dworzanin radził mu wysiąść z kolasy i pójść pieszo. Usłuchał ale na swoję ciężkość.— Wchodzi w bramę— aż tu zamrukną niedźwiedziska, podniosą się na dwóch łapach z pałkami— pan Włoch mało nie umarł; idą daléj, nikogo z ludzi niewidno; doktor się żegna i modli wchodzą na wyniosły ganek, stoją niedźwiedzie; do sieni, tu rzędem 12 stoi; to było dla Włocha za wiele, zbladł jak Pietrowina z grobu, a dworzanin prawie wniósł go do komnaty. »*Panie kochanku* rzekł pan wojewoda do Włocha— ja inszéj służby niemam, u mnie wszystko zastępują niedźwiedzie, służą za czeladź i jeżdżę niemi.«— Tak zaprawdę— rzekł pan cześnik— mój ś. p. ojciec sam był obecny, jak w Warszawie do jednego znacznego pana *panie kochanku* zajechał. Zjazd był wielki; nagle powstaje rozruch, krzyk i wrzawa; rozhukane konie przewracają pojazdy, zrywają zaprzęg; pan domu posyła marszałka, ażeby wykazał powód rozruchu. Marszałek wraca i donosi, że *Panie kochanku* zajechał czterma ogromnemi niedźwiedziami i wszystkie rozhukał konie.

— O lubił ci lubił te źwiérzęta— zaczął znowu pan Jan z Szczuczyna— onemu Włochowi jeszcze nie tu koniec. Zaledwie ochłonął nieco i otrzeźwił dobrém winem (jakiego nam widzę i pan cześnik dobrodziéj nieżałuje), dano do stołu. Pan wojewoda zasadził doktora przy sobie; po piérwszém daniu radzi mu *panie kochanku* odmienić talérz; Włoch obraca się z nim, i widzi wielkiego niedźwiedzia, stojącego na dwóch łapach za krzesłem, z talerzem czystym pod pachą. To go dobiło,— zbladł i zemdlał: długo mu nos kręcono, nim przyszedł do siebie; od onéj doby już więcéj tam niezajrzał.—

— Kiedy nasz miły sąsiad— zawołał gospodarz— chwali tak nasze wino, i porównywa do dawnego, a to ze sławną piwnicą, trzeba go lepiéj zakosztować i nie tak małą miarką.

To wyrzekłszy, otwiéra w pobliżu leżące pudło, i wyjmuje zeń puhar dwukwartowy śrebrny, bez nogi, z tym literami gockiemi napisem:

»Ludzie wzięli mi jedną, ja im lepiéj zrobię,
Bo za jedną nogę odejmę im obie.

— Bene!— wykrzyknął podochocony starosta, i klasnął w dłonie radośnie: »*Mors a tergo, bibamus ergo!*« I całe grono starców poczęło wołać donośnie: *vivat! vivat!*

Pan Jan z Szczuczyna przyjmując z rąk Starosty, co go już spełnił, puhar, jak nazywano *kulawka*, którego postawić nigdzie

(*) Gatunek niedźwiedzi na Litwie, znany u myśliwców zajadłością i ogromem.

nie można, i musiał obchodzić w około z ręku do ręku, wstał i zanucił:

Gospodarzu! gospodarzu! kto u ciebie bywa,
Zawsze wesoł, zawsze wesoł, nigdy niepoziéwa.
Hej! ha! do licha,
Dajcie nam kielicha!
A za jego zdrowie,
Miech nam szumi w głowie.

I przytknął do ust *kulawkę*, przechylił i oddał próżny towarzyszowi Zarębie. Zaręba gracz stary, wedle wyrażenia cześnika, *niedługo się bawił i dobrze się sprawił*, ani kropli nie zostawiwszy, oddał w ręce gospodarza, gdy głośna wrzawa w sali, gdzie młodzież tańczyła, zwróciła wszystkich uwagę.

Sześć par krakowskich ukazało się w sali z własnym skrzypkiem; niespodziéwane ich zjawienie obudziło radosną wrzawę. W dwóch piérwszych przystrojone jak dziewy wiejskie bogato w korale były zgrabne cześnika córy, w trzeciéj wnuczka starosty, trzy dalsze córki młode a wszystko czarnobrewki pana Jana z Szczuczyna. Dwóch synów jego wywijało w piérwszych parach, zgrabny chorąžyc był w parze z wnuczką starosty, a z trzema ostatniemi dziewojami hasali wyrostki sędziego grodzkiego, co właśnie z pełnym puharem obracał się do gospodarza, by wypić jego zdrowie.

Grajek krakowski przygrał serdeczną nutę do śpiéwków. I Adamek, syn starszy pana Jana z Szczuczyna, pląsając przed tanecznicą swoją, począł nucić:

O dziewczę! gdzie mieszkasz wiosnębym wprowadził,
Pod oknami twemi lilije zasadził:
Lilije zasadził i czerwoną róžę,
Boście takie śliczne, i zgrabne, i hože.

Ojciec słysząc śpiéwkę syna, wybijał takt nogą; widać było rozrzewnienie na obliczu i uśmiech radosny: co wkrótce przeszło na lica cześnika, kiedy usłyszał Jadwigę starszą córkę swoję jak odśpiéwywała:

Malino, malino! róžo farbowana!
Powiadają ludzie, že ja malowana;
Ni ja malowana, ni ja róžowana,
Tylko u matuli slicznie wychowana!

I zabrzękły mosiężne kółka u pasików z białéj skóry, zabrzękły podkóweczki stalowe, wśród chórowego śpiéwu tancerzy:

»Podkóweczki dajcie ognia!
Bo dziéwczyna tego godna.«

Zaledwie w kółko dwa razy wesołe grono obiegło, zmięszał się porządek. Wszyscy chcieli do krakowiaka należéć; rozochocone dziéwczątka poskoczyły do grona starców; w piérwszą parę musiał pójść starosta, daléj cześnik, pan Jan ze Szczuczyna, sędzia i tłusty podsędek. Sędziwy starosta kazał grajkowi ciąć od ucha, i nadrabiając miną, wyręczając nogi, klaskał w dłonie, i tak zaśpiéwał drżącym głosem, udając wymowę kmiecia:

Cuz chces od starego dziewcyno moja?
Niedajes mi, niedajes mi pokoja.
Stary jus nie jary, cuze ci po tém:
Niepodskocy ani razu, zleje się potém!—

Oklaskami przygłuszono grajka, gdy z chóru zagrzmiała muzyka cała *marsza*, i wszyscy udali się parami na wieczerzę do zastawionych w klamrę stołów.

Już było daleko po północy, kiedy się uczta skończyła, młodzież zmęczona nie tak rzeźwie tańczyła: tylko *kulawka* między starcami przechodziła z rąk do rąk, lubo nie długo. Kiedy i *kapela* poczęła drzymać, na dany znak przez cześnika zagrała dawną piosnkę *hejnałową* na powitanie zorzy: a arlekin z kilką młodzieży i panem Janem z Szczuczyna, który ich téj staréj pieśni nauczył, zanucili razem:

»Hejnał świta! jużci z morza
Rumiana powstaje zorza,
Jutrzenka w swojéj jasności
Rozgania nocne ciemności.
Wstaje w lesie ptak zakryty,
Wstaje w puszczy źwiérz niebity.
Wstań oraczu! hejnał świta,
Ciebie z początku zawita.
Wstawaj panno! hejnał świta,
Twój się sługa o cię pyta;
Z serca się ztąd raduje,
Że cię zdrową być znajduje.«

Pieśń ta była hasłem rozejścia się na spoczynek: arlekin uderzył silnie trzepaczką i zawołał »dobranoc! dobranoc!« a pan Jan z Szczuczyna *kulawkę* raz jeszcze na chórku wychylił, życząc wszystkim snu smacznego i błogiego.

Nazajutrz proboszcz długo musiał ze mszą oczekiwać, pomęczeni goście zaspali nadzwyczaj, i zaledwie o 11 godzinie całém gronem udali się do kościoła. Na śniadanie przygotowano kwaśny bigos z kapusty i źwierzyny, *sławne* u nas *remedium* po przepiciu się. Mróz nieco zwolniał, wyjaśniło się niebo, przed samym obiadem sanki z arlekinem cicho, odjąwszy dzwonki, wymknęły się za bramę.—

Przyrządzono na gwałt obiad suty, i gdy weseli goście na nowo zaczęli wznosić wiwaty wczorajszym puharem kulawką — dano znać, że z dworu starosty na zhasanym koniu nadbiegł karbowy z doniesieniem od starego kredencérza, co marszałkował we dworze: iż wpadł jakiś pan wielmożny w maszkarze, i kawałem drzewa, domowników po plecach wytrzepał, powywracał stołki w jadalnéj izbie, a krzycząc *kulig! kulig!* znikł jak kamfora bez pieprzu.

Starosta uradowany zaraz z małżonką swoją po obiedzie wyjechali, zostawiając wnuczęta pod o-

pieką cześnikostwa. Nie zapraszał nikogo, bo wiedział, że to rzecz umówiona, i wszyscy ztąd do dworu jego zjadą. Zaszły więc cztérokonne wielkie sanie, na przedzie rozwijał szerokie skrzydła biały łabędź, i wystawiał nad dyszel na długiéj szyi wyzłoconą głowę. Kiedy starosta z małżonką już wsiedli i okryli się niedźwiedziami, cztérech strzelców zagrało *pojezdnego* na trąbkach myśliwskich, a pan Jan z Szczuczyna w towarzystwie gospodarza, sędziego i wszystkiéj młodzieży, z odkrytemi głowami, gdyż kobiéty przez okna wyglądały, trzymając wielki puhar »koroniarzem« zwany, co weń butelka wchodziła, wychylił na pożegnanie za zdrowie starostwa. Rozrzewniony starosta uściskał wszystkich, wychylił podany za pomyślność i wesołość. Powoźnik zatrzasnął biczem, podskoczyły cztéry bułanki, zadzwoniły dzwonki, i sanie łabędzie ze starostwem zniknęły wkrótce.

Nadjechał niedługo arlekin, zdał sprawę z poselstwa swego, i zaraz poczęto robić przybory do kuligu wieczornego. — Ciemnym zmrokiem wyruszyło sań 13, poprzedzone od cztérech konnych, dworskich cześnika z pochodniami, którzy náprzód wyjechawszy, w dalekich odstępach, nadawali światłem kierunek drogi, aby niezbłądzić. Wesołe śmiechy, wrzawa, radosne piosnki, mieszały się ze skrzypem sani po zmarzłym śniegu, z parskaniem koni i czasem krzykiem bojaźliwego dziéwczątka, kiedy się sanie nieco przechyliły. Na drabiniastych ogromnych saniach siedziała huczna kapela i przygrywała wśród całéj drogi. Nagle przestrach wszystkich ogarnął: dwór starosty i część stodół w płomieniach. Pędzą końmi, podjeżdżają bliżéj, i strach w okrzyki radości się mieni: cztéry beczek smoły przed bramą dziedzińcową zapalone umyślnie, z rozkazu starosty, przyświécały spodziewanym gościom. — A więc zwolniono koniom, kapela zabrzmiała, i na 13 saniach zaśpiéwano:

Od terema do terema,
Do starosty my jedziema,
Prowadzimy żywy plon —
Kulig! w starosty dom.

Obszerny dwór murowany, rzęsisto oświecony i ogrzany dobrze, przyjął kulig wesoły: a gdy tańce rzeźwa rozpoczęła młodzież, wziął cześnika starosta na bok, i przypominając, że w dniu jutrzejszym z ostatnim wtorkiem kończą się zapusty, oświadczył chęć swoję, aby kuligiem wpaść do pana Jana z Szczuczyna. Ziemianin ten niezamożny, otoczony licznėm potomstwem, kochany i szacowany w sąsiedztwie, nieśmiał zapraszać do siebie. Starosta przeto z cześnikiem ułożyli tak wszystko, aby żadnego mu wydatku nie sprawić, a na dostatku w skromnéj jego zagrodzie niezbywało. — W nocy przeto czworo sani ze zwiérzyną, mięsiwem i antałami wina, wyruszyło wraz z kucharzem cześnika z dworu starosty do dworku Jana z Szczuczyna. —

Poważny gospodarz kazał podać sobie *kij* szklanny z gałką na końcu: napełnił starym węgrzynem — a kij z ust do ust przechodził. Po téj kolei zaprosił sędziwszych z sobą. — Niech młodzież — rzekł — skacze, my tymczasem po dawnemu pójdziem sobie do piwnicy; tam muzyka nieprzygłuszy mowy, a gawędzi się rzeźwiéj. —

Jakoż otworzono drzwi w podłodze, i ujrzano sklepioną piwnicę i oświetloną, z wygodną kanapą i kilkoma krzesłami. Dwadzieścia beczek wina stało w porządku, oprócz butli i gąsiorów. —

Gospodarz zachęcał, pan Jan z Szczuczyna radził umiarkowanie; przecież porządkiem jako znawca kosztował z beczek. Zapamiętam — wyrzekł, kosztując już z szóstéj beczki — że dawniéj w takichto piwniczkach najwięcéj bawiliśmy radzi. — Tutaj dowcip, skrzesany ognistą kroplą *hungaricum*, radował serca, loch ciemny przed chwilą, napełniały śmiechy i wesołość. —

Przywodzisz mi tém waszeć — odezwie się starosta — głośną dawniéj historyję. Sławny dworzanin Smolik, o którym tyle znacie dykteryjek, zaproszony został od swoich towarzyszów do piwnicy na wino. Byłać to zaprawdę łapka nań jeno: chcieli wypić beczkę wina, a Smolika zostawić, by zapłacił. — Ale nie fryc, zwąchał pismo nosem: jednak ochotnie poszedł z nimi. Wchodzą, — w piwnicy nasłano siana, stoi porządna baryła z węgrzynem. — Pokładli się na sianie, piją dzień cały. Smolik dworuje, aż w końcu chce zrobić zakład, iż sznur z siana wykryci, i każdego nim wyciągnie z piwnicy. Zagrzane głowy wierzyć niechcą, i radzi zakład robią. Smolik kręci siano, a woła trzymajże mocno! — i tak kręcąc wychodzi zwolna z piwnicy. Tu chłopcu koniec oddaje, i każe kiedy niekiedy poszarpnąć, a sam w nogi. Pozostali czekają jak piérwszego wyciągnie, ale gdy długo niesłyszą Smolika, wybiegają, i widzą jeno chłopca. To zdarzenie rozeszło się wkrótce, a nawet dało powód przysłowiu: *wykręcił się sianem*, boć zaprawdę wykręcił się sianem.

Sędzia grodzki słuchając téj gawędy, miał ciągle zwrócone oczy na szklenicę wielką; wziął ją w rękę, i zapytał ciekawie: co znaczą trzy obrączki coraz w znacznych przedziałach niższe?

—Czyż nieznacie tego? — zawołał Jan z Szczuczyna — piło się zeń nieraz. Owóż nalewano cały, każdy musiał duszkiem, od piérwszéj do drugiéj obrączki, ani mniéj ni więcéj wypić; kto schybił miary, dolewano, musiał powtórzyć; kto trafił, wolny mu był spoczynek, nim wychylił do dna. —

—Sztuczkato nie lada— rzekł z podziwem gruby podsędek.

—Większa sztuka — rzekł cześnik — léj w gębę włożyć, i wytrzymać, gdy przezeń lano w gardło po kwarcie do razu. — Tak bywało dawniéj, o czém nasze wspominają kroniki (*).

Starosta radził dalej beczek kosztować, gdy dano znać, że czekają wszyscy z polonezem; radzi nieradzi, wyjść musieli z piwnicy. Jan z Szczuczyna już dobrze podcięty chciał tańczyć drabanta; pomięszana małżonka wzięła go na stronę i doniosła, że kulig zapowiedziano do nich na dzień jutrzejszy jako ostatni wtorek. Zmięszał się nieco; a że mieszkał w bliskiém sąsiedztwie, po tańcu wysunął się zręcznie, wsiadł na przygotowane sanie, i ruszył do domu.—

Jakież było jego podziwienie, gdy mu domownicy donieśli o przybyciu niedawno czterech sani z kucharzem cześnika, pełnych źwierzyny, mięsiwa i dwoma beczkami wina z piwnicy starosty. I przejrzawszy okwite dary, skosztowawszy nieco i wina, podziękował Bogu szczérze, że się wyzwolił z kłopotu niemałego, i ze łzami radości wrócił napowrót uspokoić zmartwioną żonę. Siedziała smętna w kącie sali, gdy Jan wesoły zbliżył się i uwiadomił o wszystkiém; uśmiech szczęścia i radości spędził smętek. Sam poszedł do starosty, uścisnął mu kolana, dziękował cześnikowi, i radosny dotrzymywał wszystkim pola.—

Ochocza młodzież doczekała świtu, nim znużyła się tańcem. Pan Jan z Szczuczyna wcześniej z żoną i dziećmi odjechał do domu, aby przysposobić wszystko na przyjęcie licznych gości.—

Skromny dworek Jana z Szczuczyna, z modrzewiu pod słomianym dachem, stał blisko brzozowego gaju; na dziedzińcu nieobszernym mała sadzawka zarybiona dostarczała okwicie w post jadła. Dworek sam składał się z dużéj izby czysto wybielonéj, z piecem i kominem, i dwóch małych alkierzy; na przeciwnéj stronie takiż sam rozkład: ta część przeznaczona dla gospodarstwa, tamta na przyjęcie gości. W małéj tak zwanéj oficynie mieściła się czeladź, teraz dla zjazdu na wieś wyrugowana, a małe izdebki wyczyszczono dla młodzieży. Od rana kucharz cześnika piekł na rożnach pieczyste, pan Jan ściągał wino,— małżonka jego z córkami piekła faworki i pączki, synowie porządkowali gumno na pomieszczenie koni i sani.

W pobliskim kościele dzwoniono na modlitwy, gospodarze tego domostwa piérwszy raz musieli zabaczyć słuchania mszy codziennéj. Starosta kulig zatrzymał dłużéj z umysłu u siebie, i doniósł żeby się nietroskali obiadem. Jakoż dopiéro samym zmrokiem tak cicho wkradł się arlekin na dziedziniec z sankami, że go dostrzegli dopiéro jak wyskakiwał z sanek, a wpadłszy do izby gościnnéj zapowiedział kulig. I zaraz za nim odgłos muzyki i dzwonków zwiastował przybycie kuligu. Pan Jan z małżonką i dziećmi na ganku przyjmował wszystkich: dobyto jeszcze z sań cześnika i starosty opleśniałych więcej butelek, i skrycie wniesiono do izby.

Umieszczono kapelę w przyległéj alkówce, i z najszczérszą wesołością hasała młodzież, weselili się starcy. Pan Jan uszczęśliwiony, że zaszczycono jego słomiane poddasze i wszystkiego był dostatek, odmłodniał, zachęcał wszystkich do tańca i do kielichów; śpiewał radosny, a przypomniawszy sobie piosneczkę staroświecką, z zaplesniałą butelką w zebranym starszych gronie w przyległej alkowie i kilku młodzieży, zapomniawszy o kielichu, prosto z niéj popijając śpiewał:

Wina! panien a muzyki!
Kto chce melankoliki
Rozweselić, to troje
Wybiją ze łba roje.

Więc komu nogi drgają,
Niech mu w dudy zagrają,
W takt poskoczyć nie wadzi,
Którzy tańcują radzi.

Frasunki suszą kości,
Trzeba zalać wnętrzności,
A młodzieńcy z pannami,
Niech się bawią żartami.

Przed kim dwie pełne stoją,
Jedna niech będzie moją.
Bodajże zdrów sąsiedzie!
Każdy niech wesół będzie (*).

Dla uczczenia swoich zacnych gości, i jak nazwał *benefaktorów*, szczególniéj w osobie starosty i cześnika, gdy wnosił ich zdrowie, ustawiona czeladź pod oknami dała ognia ze strzelb kilku i dwóch dawnych szturmaków. Przed wieczerzą, w czasie spoczynku zmęczonéj tańcem młodzi, wprowadził zabawę wiejską. Domownicy jego przebrani za źwiérzęta i ptaki, przy brzmieniu kobzy, naśladowali zręcznie skoki swoich postaci, jakie przybrali na siebie: powtórzono śpiewki *kolędowe*. Pan Jan z żywém wilczęciem obchodził damy, i wymagał kolędy wedle dawnego zwyczaju. Wprowadzono na ostatku ogromnego niedźwiedzia, który zgrabnie tańczył, robił hijem, i kłaniał się każdemu. Byłto stary strzelec starosty obszyty w skórę, który doskonale umiał niezgrabnego źwierza poruszenia naśladować, przypatrzywszy się niedźwiedziom w samych kniejach z bliska, i nie jednę z niemi odbywszy przeprawę, czego ślady w potężnych kresach na czole nosił.

Pan Jan usadził się na to, żeby swoich gości popoił, jakoż po wieczerzy sędziego i podsędka wyniesiono. Starosta z cześnikiem uchronić się zręcznie zbytecznych kielichów umieli.

O północy, podług odwiecznego kmieci mazowieckich zwyczaju, wjechał na zrobionym zgrabnie koniu syn najstarszy pana Jana przedstawiając »*zapust*.« W jednéj ręce trzymał w woreczku popiół z przywiązanym śledziem, drugą hamował rozhukanego rumaka. Pohasawszy po całéj izbie, zapowiedział swój zgon bliski i nadejście postu. Tu potrząsł popiołem i wskazał śledzia. Na ten znak arlekin rzucił maskę i trzepaczkę pod nogi zapustowi. — Powszechne milczenie towarzyszyło jego odjazdowi; przecież mimo zapowiedzenia zapustu tańczono i bawiono się wesoło do białego świtu.

W środę popielcową wieczorem już każdy w swoim domu bawił; znikły muzyka, tańce i śpiewy— bo umilkły dzwonki gromadnej drużyny kuligu. *K. Wł. W.*

(Pam. Nauk.)

— Ze Lwowa. —

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 27. 28. 29. i obejmuje przedmioty następujące: 1) O sadzeniu kartofli bez stracenia wysadków. 2) Jak łąki poprawiać? 3) Sposób, żeby mieć szparagi, jak świce wielkie i tak grube. 4) O mnożeniu sztucznem truflów. 5) Żeby rzepak od gąsienicy uchronić. 6) Przeciw obcinaniu gałęzi drzewom na budulec służącym. 7) Widoki dla Galicyi z pomnożenia fabryk cukru wynikające. 8) Powietrze oczyścić w mieszkaniach chorych. 9) Ciekawy sposob, żeby drób siedział na jajach. 10) Widok postępu intrat w ciągu 10. lat z owczarni dóbr w Galicyi

(*) Kronika Bernarda *Wapowskiego*.

(*) Co nowego i t. d. przez M. *Trzyprzyckiego*, z XVII wieku.

położnych, od roku 1826/7 do roku 1855/6. 12) Rachunek przychodów powyższéj owczarni z sprzedaży wełny i owiec od 1. stycznia 1836 do 8. lutego 1837. 13) Zdarzenia prawdziwe. 14) Zakład ogrodniczy w Medyce.— N. 28. 1) O pożytku popiołu. 2) Sposób żeby mieć szparagi i t. d. (Dokończenie). 3) Widoki dla Galicyi i t. d. (Dokończenie). 4) Czy warto było zeszłego roku wódkę pędzić z kartofli. 5) Koń Tajar, latający zwany. — Nr. 29. 1) Uwagi z doświadczenia wynikłe względem spasania koniczyny owcami. 2) Jakie są tajemnice w hodowaniu chmielu? 3) Żeby drzewa owocowe lepiej rodziły. 4) Sposób, żeby drogi ogrodowe niezarastały trawą. 5) Jakie można mieć pożytki z pustek. 6) O praniu wełny po strzyży. 7) Najlepszy sposób prania owiec. 8) O nowym zakładzie wyrobów fabrycznych i rękodzielnych. 9) Wyjaśnienie artykułu w 52 numerze Gazety Lwowskiéj, z r. b. umieszczonego pod tytułem: *„Przestroga dla interessowanych właścicieli gorzelni.“* 10) Zdarzenie prawdziwe.

Znany autor »Historyi miasta Wilna« p. Michał Baliński zebrał i wydał w Warszawie, nakładem i drukiem J. Glücksberga (1837): Pamiętniki o królowéj Barbarze, żonie Zygmunta Augusta. Tom piérwszy. Zbiór ten obejmuje trzy oddziały: 1) Barbara Radziwiłłówna żoną Gastolda Wojewody Nowogrodzkiego od r. 1538—1542.— II.) Barbara wdową od r. 1542—1547.— III.) Barbara żoną Zygmunta Augusta od r. 1547—1548. W tym oddziale mieści się wiele listów oryginalnych króla Zygmunta Augusta, Radziwiłłów, Stanisława Dowojny, starosty mireckiego, powiernika króla, i t. p. Na czele umieszczony wizerunek Barbary, ryty na stali w Carlsruhe, a cały zbiór ten jest ważnym do dziejów przyrostkiem.

W kwietniu r. b. żyć przestał w Moskwie jeden z znakomitych prozaików rossyjskich, Bazyli Uszaków, po długiéj i ciężkiéj chorobie, przeżywszy lat blisko pięćdziesiąt.

Odebrano z Kijowa smutną dla miłośników muzyki wiadomość. Wyborna śpiéwaczka, Adela Crescini, z domu Turska, która przed rokiem tak świetne dawała w Petersburgu koncerta, umarła 25. zeszłego marca w Tuligołowach, gub. Czernigowskiéj.

Nowa oprawa książek. Introligator Hanckock w Londynie, oprawia teraz książki bardzo pięknie w gumę elastyczną.

Jako jednę z osobliwości, wyłącznie naszéj epoce właściwych, przytaczają, iż ostatniémi dniami, widziano w pewném towarzystwie w Wiédniu partyją wista, w któréj grali razem Nuncyusz Papiezki i poseł Porty Ottomańskiéj.

Uszanowanie prostego żołniérza. Przed karnym sądem policyi w Paryżu, stawiono niedawno starego żołniérza z czasów cesarstwa, nazwiskiem Broularda, który był oskarżonym, że pobił jednego z swych młodych towarzyszy. Żołniérz ten rzucał się niecierpliwie na wszystkie strony, gniótł bez ustanku swoję czapkę i mruczał niezrozumiałe słowa. Z rozpoznania sprawy okazało się, że obadwaj o wojskowość i Napoleona się poróżnili. Ten, którego pobito, miał powiedzieć jedynie, że Napoleon był takim człowiekiem jak każdy inny, a Broulard taką obelgą rozgniewany zaczął natychmiast grzmocić kijem tego, według jego mniemania szkaradnego potwarcę. »Do sto piorunów!« rzekł przed sądem; »cesarz jest dla mnie ojcem, matką, dzieckiem i mamką! Gdy o nim myślę, robi się mi to gorąco, to zimno, to się śmieję, to płaczę. Niech mi powiedzą grubijaństwo, nie mam nic przeciw temu, niech mi głowę rozbiją,—pozwalam i na to, ale od cesarza wara! Mówiąc o cesarzu, powinna być cisza w szeregach, ręka przy kołpaku, oto jest moje zdanie.«— Sędzia odrzekł mu na to, iż Martinet nie mówił nic nieprzyzwoitego o cesarzu. »I owszem, mówił, że cesarz jest takim człowiekiem jak i drudzy ludzie. Co za kozak! cesarz taki człowiek jak drugi? Wszyscy ludzie jeden na drugim postawieni jeszczeby mu i po ramię nie sięgli, jakkolwiek małego był wzrostu. Bo macie to wiedzieć moi panowie, cesarz, do sto piorunów! Cesarz jest cesarz i na tém basta.«— Sąd skazał starego Broularda na pięciodniowe więzienie i dwadzieścia pięć franków pieniężnéj kary, poczém się tenże odezwał: »Pozwalam i na to, ale przecież wpanowie przez to nie rozumiejcie, że cesarz był takim człowiekiem jak drudzy ludzie.«

Zachwycenie Machometa. Machomet, któremu Bóg téj łaski udzielił, iż jeszcze za życia mógł oglądać rajskie przebytki, zbliżywszy się do bramy w towarzystwie anioła Gabryela, postrzegł przed rajem na boku stojącego człowieka, który z wyrazem nieutulonego smutku spuścił swój wzrok ku ziemi.

»Dla czegóż człowiek ten stoi za bramą?« zapytał Machomet swojego towarzysza, »i czemuż mu do przebytku szczęśliwych wnijść nie wolno?«

»Ponieważ nie przyniósł z sobą datku, bez którego żadnemu z śmiertelnych nie wolno wnijść do tego miejsca, to jest: nie przyniósł z sobą aby jednéj łzy wylanéj przy jego skonie. Jak sam nikogo nie kochał, także od nikogo nie był kochanym, i żadne oko nie uroniło aby jednéj łzy przy jego śmierci.«

Machomet usłyszawszy te słowa westchnął głęboko, i niewymowny żal przejął serce jego, z powodu, iż się znajdował człowiek, który nie kochał i od nikogo nie był kochanym, a łza potoczyła się po jego licu, która przez anioła schwycona, w dłoni jego w perłę się zamieniła.

»Weźmieszże ją jako datek tego nieszczęśliwego?« Zapytał Machomet, z spuszczoném w ziemię spójrzeniem, swojego towarzysza.

»Wezmę,« odrzekł anioł, »albowiem litość twoja obudziła w sercu jego piérwsze uczucie miłości, bez któréj byłby nigdy nie wszedł do przebytku szczęśliwych, gdyż bramy rajskie byłyby na zawsze dla niego zamknięte.«

Osobliwy poród. R. 1699 w Województwie Krakowskiém, we wsi Wysoka nazwanéj, w parafii cięgowickiéj, szlachcianka niejaka pani Tymowska urodziła miasto dziecięcia pół zająca od głowy, a pół jeża od nóg; na zającu była sierść na udzie. Będąc brzemienną nie jadła nic, tylko liście kapuściane, trawę, marchew i jeszcze różne surowe potrawy, wodę tylko pijąc. (Pamięt. do pan. Aug. II. str, 28.)

Uroczystość kobiéca. W Massachuset 900 niewiast obchodziło festyn płci niewieściéj. Do wychylonych toastów należały następujące: »Niech żyją starzy bezżeńcy. Niech sypiają sami na prześcieradłach z pokrzywki, siedzą sami na taboretach drewnianych, jedzą sami u stołu, i sami gotują w kuchni.—« Niech żyje stan małżeński! prawdziwa essencyja życia! Niech żyje miłość w domu, pożytek nawet za domem, stałość w każdym czasie i w każdéj okoliczności.«— »Oby stary bezżeniec podobien był do ciernia, które ani swoim kwiatem, ani owocem dla nikogo nic przynosi pożytku; oby wszystkie istoty żyjące uważały go za plagę i chłostę, któréj unikać należy!«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*